11. Lipca. **Nr. 33.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca (cztery arkusze druku.)

Cena:

kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie w drukarni Kornela Pillera.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

POGRZEB ś. p. ARTURA GROTTGERA.

Dnia 5. lipca o godzinie 10 rano kościół bernardyński był już przepełniony tłumem. O tej godzinie właśnie rozpoczynało się żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Artura Grottgera, którego zwłoki dniem przedtem przywiezione do Lwowa z południowej Francji złożonemi zostały w bocznej kaplicy tegoż kościoła — w środku świątyni uroczyście a żałobnie przybranej, z oknami kirem zasuniętemi, na tle poważnego zmierzchu przesutego niepewnem światłem świec jarzących wznosił się katafalk w chorągwie i gałęzie przyozdobiony — a mający u szczytu połączone herby Polski, Rusi i Litwy. Na czele katafalku po przed herbami stało kolosalne popiersie Grottgera modelowane przez jednego z najzdolniejszych rzeźbiarzy polskich p. Parysa Filippiego. Na chórze członkowie Towarzystwa muzycznego pod kierownictwem p. Mikulego odśpiewali mszę żałobną. Nie wielki kościół OO. Bernardynów nie mógł pomieścić tłumów cisnących się na żałobną uroczystość ku pamięci tak popularnego, tak ulubionego artysty, jakim był Grottger; dla tego też podczas nabożeństwa plac kościelny był przepełniony ludźmi. Po skończonem nabożeństwie młodzież poniosła na ramionach trumnę artysty na cmentarz Łyczakowski i tam w obec licznego zgromadzenia znany nasz poeta Kornel Ujejski powiedział nad umarłym gorącą i pełną efektu mowę. Oto jej dosłowne brzmienie:

Rodacy - Obywatele!

Stoimy około drogiej trumny wróconej nam z obcej ziemi — nie obcej, bo gościnnej, od dawna nam przyjaźnej, a co więcej, pokrewnej duchem: ona przybyła od naszej siostry, Francji. Tę trumnę, która pożegnana przez nas, za chwilę zejdzie w cień grobowy, tę trumnę przychodzi nam oraz witać. Jakie-to boleśne powitanie! — W niej spoczywają zwłoki Artura Grottgera. Umarł młodo, zaledwie licząc lat 30 — zostawił narodowi dzieła, które przetrwają wieki; żył ubogi, walczył nieraz z niedostatkiem — a zostawił narodowi skarby, dla których niema ceny!

Mówię w obec nader licznej i szerokiej publiczności, składającej się ze wszystkich warstw społecznych; niechże mi wolno będzie, dla tych którzy kochają ojczyznę dla jej imienia świętego, a mało wiedzą o jej dziejach i o jej synach zasłużonych, przebiedz w krótkości życie i działania tego nieodżałowanego młodzieńca, dla oddania któremu przynależnej i ostatniej czci zebraliśmy się na tem miejscu.

Artur Grottger urodził się między nami; urodził się na wsi, z rodziców zacnych, przejętych patrjotycznem uczuciem a niezamożnych i trzymających dzierżawą wieś Otyniowice, o mil 8 ode Lwowa odległą. Dzieckiem zaledwie wyrośniętem z pieluch, ukochał on tę polską ziemię. Jej kształty, jej dźwięki uderzały w jego wrażliwą duszyczkę. I równocześnie dwa poczucia, dwa popędy, dwa wybitne talenta: do muzyki i do rysunku, odezwały się w ubłogosławionem iskrą bożą dziecku. I jak to się dziwnie złożyło: matka jego była znakomicie wykształconą w muzyce, a ojciec, w sztuce malarskiej. Rodzice stali się nauczycielami ukochanego syna — i wnet spostrzeżono, że talent do rysunku widocznie w nim przeważał. Więc matka, niewiasta-polka, a już i z tego drugiego tytułu skora do każdego zaparcia się, nie chcąc łamać zdolności syna na dwa prądy, usunęła się ze swą nauką, zostawiając ojcu wyłączne kształcenie go w rysunku. Chłopiec nieco więcej liczący nad lat 10 stał się wkrótce podziwem całej okolicy ze swego olbrzymiego talentu. I przy sposobności odwiedzin cesarza austrjackiego tej części Polski, którą nazwano Galicją, wyrysował jego wjazd do Lwowa. Rysunek został przedłożony cesarzowi. Cesarz obdarzył młodziutkiego artystę dość znacznem stypendjum dla dalszego jego kształcenia się; jakoż udał się Grottger do szkoły malarskiej najprzód w Krakowie, a później we Wiedniu. W tej ostatniej, celował tak, że go umieszczono w oddziale nazwanym ›szkoła mistrzów‹.

Nadszedł rok sześćdziesiąty pierwszy; rok wielki i błogosławionej pamięci. W nim nasz naród, ogołocony z sił materjalnych a potężny duchem, wydał wojnę najobszerniejszemu mocarstwu w świecie. Grottger był artystą, tj. miał duchową siłę; Grottger był dobrym synem ojczyzny, to jest obracającym tę siłę na jej pożytek. I wyrysował natenczas pierwszą serję swoich obrazów pod tytułem: *»Warszawa«*.

Przed siedmiu laty wielu z Was, kochani rodacy, współuczestniczyło w uroczystości postawienia tego blizkiego, dębowego krzyża na pamiątkę ofiar warszawskich... Wszak prawda, o krzyżu! godle i pamiątko dwóch męczeństw. Ty niewidomie przedłużasz teraz swe ramiona, aby ocienić grób Tego, który uświetnił i przekazał światu chwilę wiekopomną w dziejach ludzkości, a przez łaskę bożą w naszym narodzie podniesioną!

›*Warszawa*‹ Grottgera za pomocą fotografii, jakby w iskrach elektrycznych, rozsypała się po Europie w tysiącznych egzemplarzach. Działała ona potężnie na masy ludów; stała się w obec nich orędowniczką sprawy Polski — i propagatorką tej wielkiej jej idei, że duch góruje nad siłą brutalną, panuje nad nią, a w końcu tego buntownika przeciw duchowi — zgniata i zwycięża. Tego rodzaju propaganda nie mogła podobać się rządom absolutnym. W tym Wiedniu ubóstwiającym cielesność, działy się rzeczy niezwyczajne. Przed wystawami sklepów, w których na widok publiczny rozwieszono obrazy Grottgera,

stawały tłumy przechodniów; oni wracali z jednej uciechy i spieszyli zapewne do innej — mimochodem zatrzymali się na chwilę, aby oglądnąć nowość. I stali potem długo, jakby przykuci — bo te obrazy odkrywały nowe, nieznane im światy; i stali zaniepokojeni, niezadowoleni ze siebie — i odchodzili zadumani, smutni, ze spuszczonemi głowami, a odchodzili już nie na miejsca publiczne, ale — między rodzinę, do domu. Na takie niebezpieczne objawy ówczesny rząd austrjacki nie mógł patrzeć obojętnie; nie miał on już ani siły, ani odwagi przeszkadzać dalszemu rozpowszechnianiu się obrazów — ale przysłał ich twórcy wyraz swego nieukontentowania z dodatkiem groźby, że, jeśli artysta z podobnemi utworami jeszcze raz wystąpi, cesarskie stypendjum zostanie mu odebranem.

Tymczasem wybuchło nasze powstanie; krwawiło się ono w obec pogańskich, samolubnych rządów, w obec przerażonych a bezwładnych ludów. I wkrótce to drogie dziecko polskie, ten ukochany syn ojczyzny, miał sposobność odpowiedzieć na objawioną mu groźbę — i któż nie wie, jak odpowiedział? odpowiedział nową serją patrjotycznych obrazów, odpowiedział: *»Polonią!«* Poczem utracił stypendjum.

Ten uszczerbek zachwiał na zawsze jego materjalnemi stosunkami i stał się źródłem niemałych w jego dalszem życiu zgryzot; bo Grottger był opiekunem i podporą swej rodziny, a przytem serdecznym, wylanym dla swych przyjaciół.

Przytoczony ostatni rys kreśli nam całego człowieka; on powie już resztę o nim — on mówi wszystko. On świadczy, że Grottger stał pod łaską wysokiego natchnienia, czuł w sobie jego uświęcenie, poddawał mu się, jak dobre, posłuszne dziecko, ślepo i pokornie — a przytem wiedział, że ludzie natchnienia są tylko misternemi narzędziami w ręku Boga, i że im nie wolno tak świętego daru używać dla swoich osobistych widoków i korzyści, bo inaczej duch wieszczy odstąpi ich i odleci — na długo, nieraz na zawsze. Toż śmiało twierdzę, że Grottger był ostatnich czasów jedynym wieszczem narodu. Najgodniej i najgenjalniej przedstawił on w swoich utworach ducha Polski. Dzisiejsza Polska: to ból i wiara; ból niezgłębiony i olbrzymia wiara! — bo tylko siła rodzi siłę — a te dwa charaktery występują we wszystkich dziełach Grottgera.

A gdzie wiara, tam zwycięztwo! Tak — choćby mnie miano obyczajem wieku, nie kamieniem, ale śmiechem ukamienować — powiem: W ostatniem naszem powstaniu, nie nas wróg zwyciężył — myśmy zwyciężyli! Jeżeli to słowo nie znajduje przystępu do dusz naszych, zapytam obecnych kapłanów: Podczas najsroższego prześladowania kościoła, kto był zwycięzcą — czy Neron, czy chrześcianie?... *(Głos kapłanów: ›Chrześcianie!‹)* Dziękuję wam. Otóż tę myśl wypowiedział także Grottger w swoich rysunkach.

Patrzcie na tego kapłana, kiedy zamyka znieważony kościół: jaki on spokojny — bo zwyciężył! Patrzcie na tego katorżnika z podniesionym nad bryłą młotem: to zwycięzca! Patrzcie na tego trupa, nad którym klęczy skamieniała matka — twarz jego przepełniona szczęściem! Patrzcie na tego litewskiego leśnika, kiedy się rzuca w tłumy wrogów: to tryumfator! Albo na jego żonę, zagrzebaną w kopalni, klęczącą przed jawiającą się Matką Boską: to święta! Albo na tego chłopa prowadzonego przez szlachtę, niosącego chorągiew: on wie, że idzie w przyszłość, że w jego pokoleniu zrodzi się senator! Albo na tego rabina, postępującego za pogrzebem arcybiskupa warszawskiego: on zaczyna pojmować Chrystusa!... . . . .

Tak było! tak działo się rzeczywiście! a ten, który to wszystko ogarnął, pojął, i objawił nietylko Polsce, ale całemu światu — w tej trumnie spoczywa.

I jakże mu się naród odpłacił? Najznakomitsze jego dzieła nie mogły w kraju znaleść kupca, przejść musiały w obce narodowi ręce. Tylko jeden z naszych bogaczów uczcił geniusz Grottgera, był mu nieraz pomocą i podporą — ale to człowiek wyjątkowy, gdzie tylko potrzeba lub myśl narodowa, jego hojna ręka wszędzie. A nawet i teraz: zebrani we Lwowie w kilkuset delegaci Towarzystwa kredytowego, reprezentanci całego kraju, nie chcieli odłożyć swoich czynności, ażeby uczcić żałobny obchód tak wielkiej w narodzie znakomitości, i w tej chwili odbywają swoje posiedzenie, radząc tam zapewne nad nierównie ważniejszemi sprawami. O goryczy, bądź odemnie daleką! Pójdę za myślą grobów. Groby przebaczają, bo same nieraz pragną przebaczenia. Ten — niewinny! a wiem o tem, że przebacza winnym.

Po utworzeniu *»Polonii, Lituaniki i Wieczorów zimowych«* udał się Grottger, już chory, do Paryża. Tam na wielkiej wystawie przeszłorocznej okazał ostatnie swoje dzieło: ›*Wojnę*‹. W tej ›*Wojnie*‹ przedstawił całą jej straszną grozę. A i z tych obrazów wieje także myśl polska: nadzieja jej prorocza, w niedaleką już może sięgająca przyszłość, nadzieja pełniącej się miłości ewangelicznej we wszystkich stosunkach i zajściach międzynarodowych. Bo każda wojna jest bratobójczą, a Polska tradycyjnie miała wstręt do niej; wojen zaborczych nie znała, toż podniesienie swego oręża nazywała ›potrzebą‹ t. j. koniecznością.

Imię Grottgera rosło, nabierało coraz większego znaczenia i powagi. Otwierała mu się przyszłość piękna, spokojna, szczęśliwa — bo zdobył sobie sławę w całym już świecie artystycznym, a w ojczyźnie zdobył serce dziewicy, godnej jego ducha i miłości, i miał z nią wkrótce zawrzeć śluby małżeńskie. I w takiej chwili — zapadając coraz bardziej na piersiową chorobę, wysłany przez lekarzy do południowej Francji, w kilka dni po przybyciu do Amélie les Bains — umarł.

Śmierć jego przedwczesna jest tajemnicą Opatrzności. Nie godzi się nam stawić jej zapytania: Dla czego? My tylko tyle wiemy, że w strasznej dla narodu chwili ś. p. Artur był jego wieszczem-pocieszycielem, dokonał dzieła — i został odwołanym.

Z głębokim bolem żegnamy się z Tobą, drogi nasz Arturze — a jednak z każdego bolu i smutku należy nam chrześcianom, a mianowicie Polakom, wychodzić ze siłą i wiarą. Pocieszać ciebie Matko, lub ciebie jego Narzeczono, byłoby w ustach człowieka bluźnierstwem — to rzecz Boga. Mnie tylko wolno na widok tej trumny, wydobyć z niej, nie słowa pociechy, lecz wiary.

Wierzymy, że trumny są kołyskami nowych żywotów — o wy biedne z rozdartem sercem, patrzcie! — może w tej trumnie anioł się kołysze!

Wierzymy, że w ziemi leżą gdzieniegdzie zwłoki tak szczęśliwe, iż będą mieć dwa wstrząśnienia — o jedno więcej, niźli wszystkie inne. Drugie będzie ogólne, przy zmartwychwstaniu ciał na głos trąby sądu ostatecznego; pierwszego wstrząśnienia doznają tylko zwłoki wybranych i zasłużonych: przy zmartwychwstaniu Polski! Twoje popioły Arturze, poruszą się także.

Wierzymy, że twoja trumna jest przewodniczką innych, że trumny rozrzucone po obcych ziemiach, kryjące naszych braci zmarłych w tęsknocie na tułactwie, gotują się do podróży — i słychać po nich szmer radośnej nadziei: »Może w krótce zawezwą także i nas i odbiorą do wolnej Polski!...

O Boże! — kiedy to?

A teraz, wielebny kapłanie, przewodniczący temu smutnemu obrzędowi, rozpocznij nad tą trumną, przekazane nam przez kościół, święte modlitwy — a potem uświęconą swą ręką rzuć na nią garść z tej ojczystej ziemi, którą ś. p. Artur całą duszą kochał, a która na jego przybycie czekała. Niech oną posypie się z twojej dłoni jakby łzy matki spadające, i niech mu będzie błogosławieństwem; niech świadczy za nim przed Panem, niech mu wyjedna przebaczenie za małe a ludzkie ułomności jego, i niech uprosi, aby został wliczony w legiony aniołów-stróżów naszej nieszczęśliwej ojczyzny!

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

AKT IV.

(*W pomieszkaniu Konstantego, jak w akcie III., scenie I.*).

Scena I.

KONSTANTY (*sam*).

Niespokój takie sprawia mi katusze,
Jakich największa nie zadała nędza!
Zofja chce wieści o domu, więc muszę
Coś odpowiedzieć, a widok jej wpędza
Mię na kłamstw drogę, bo w domu złorzeczą
Mnie, sprawcy złego a może łzy ronią;
Czyż to jej powiem? nie, bo nie uleczą
Jej łzy stracone. — Kłamstwo moją bronią:
Przed Zofją kłamię, że mam nową pracę,
A ja zasobów mam tylko ostatek,
I gdy najpierwsze potrzeby opłacę,
Może jej matka głosem wszystkich matek
Kląć — a świat uzna mię winnym dwu zbrodni:
— Nie dość, że hańbi, jest sprawcą jej nędzy,
Rzecze świat — oplwa! — To więc tacy godni,
Którzy bez serca stawią wór pieniędzy,
A hańbę za nim? — A tutaj świat woła:
— Hańba! i czemu? Z kochankiem ucieka! —
I niktże nie wie, że czasem anioła
Z pospolitego robi świat człowieka,
Gdy chcą ukrócić wolność jego ducha —
Nikt... nikt — nikt nie wie?

(*Siada i opiera głowę na rękach*).

Scena II.

KONSTANTY, ZOFJA.

ZOFJA (*wchodzi, zatrzymuje się chwilę, idzie do Konstantego i położywszy rękę na jego ramieniu — mówi*).

Twój smutek mię boli,
Twój smutek dla mnie, o! to zła otucha!
I jakże w domu?

KONSTANTY.

Wszystko podług woli
Twej matki idzie.

ZOFJA.

Cóż więcej, co, przecie?
Czy nikt nie wspomni?

KONSTANTY.

Że brakło istoty,
Dziś — jak ja smutnej, a dawniej jak dziecię
Wierzącej, hożej?! — Ach! jam to dzień złoty
Twojego szczęścia zmienił w noc ponurą! —
Gdy mię duch wołał nie tam, gdzie świat woła,
Gdy los mój własny okrywał się chmurą,
Wydarłem niebu — zuchwały — anioła.

ZOFJA.

I czyż u boku stanął ci niechętnie?

KONSTANTY.

O Zofjo droga! bieżącego wieku
Cyniczny uśmiech, wita obojętnie
Takie uczucia, jak nasze, w człowieku,
I takie myśli, i myśli potępia...
Gdyby potępić mógł uśmiech odjoty.

(*Po chwili*).

O! gdyby chciwość jego była sępia,
To ten wiek byłby może wiekiem cnoty.

ZOFJA.

O! mnie ten uśmiech, o! mnie nie przeraża,
Bo dla nas drogie to wyśmiane szczęście.

KONSTANTY.

Nieopłacone! — tak, bo świat obraża,
I obrażony, drży i ściska pięście;
Choć uśmiechnięty a niepewny siebie,
Bo tak się ciska niepewność jedynie.
Tak ja w tej chwili... Jesteśmy w potrzebie!
Powiedz mi Zofjo — jeśli jutro minie,
Czy się twój spokój przed nędzą ostoi?

ZOFJA.

I ty niewierny!

KONSTANTY (*jakby do siebie*).

Ha, człowiek człowiekiem;
Gdy chce być więcej — sam siebie się boi,
Bo to, co większe, na niebie dalekiem,
A tu — sumienie — może ziarnko małe,
A takie ciężkie!

ZOFJA

(*oddalając się w przeciwną stronę, na przodzie sceny*).

Ach, jak smutny, Boże!
I mnie otworzył serce swe — nie całe;
Czemuż on nie wie, że i ja się trwożę,
Że mi głos jakiś szepcze straszne rzeczy:
Tyś winna, winna! — Ach, jakże to boli!
A i on milczy, a i on nie przeczy.

(*Twarz ukrywa w dłonie*).

KONSTANTY.

Cóż Zofjo, milczysz?

(*Przybliża się do Zofji*).

Płacze! — Jam niedoli
Sprawcą, ja jeden!

ZOFJA.

Konstanty! nie skarzę
O! nie, nikogo...

KONSTANTY.

A czemuż łzy płyną?

ZOFJA

(*opierając głowę o piersi Konstantego*).
Ciebie obwiniać ja się nie odważę,
Lecz bądź otwarty.

KONSTANTY.

Ha! milczenie winą!
To prawda, prawda, ukrywam zgryzotę;
Chciałem przy tobie stłumić głos sumienia,
Twarz mieć wesołą, snuć nadzieje złote, —
A tyś poznała, a ty chcesz zwierzenia.
Wiesz co mię dręczy? Ja zdradziłem wiarę,
Bo gdym wygłaszał najświętsze zasady,
I kiedy matka zrobiła ofiarę
Z własnych przekonań — dopuszczam się zdrady,
Wydzieram ciebie z domowej zaciszy.

ZOFJA.

Na tak otwarte czekałam zwierzenie.
Ach! któż sumienia głosu nie posłyszy?
I mnie on wyrwał nie jedno westchnienie,
I jam tu winna, bo z czyjejże winy
Straciłeś spokój?

KONSTANTY.

Każdy tyle bierze
Ile są warte jego własne czyny.
A często, często, chociaż głos ostrzeże,
Głos, który później robi ci wyrzuty —
Nie zawsze człowiek może wrócić z drogi,
Bo dalszy żywot, z myśli już wysnuty
Wejdzie w krew, w ciało, i choćby złowrogi
Los, niszczył wszystko za pierwszym już krokiem —
On idzie dalej, instynktowym ruchem
Pędzony naprzód; — patrzy duszy okiem,
Myśląc, że wszystko ustąpi przed duchem!
I cóż dziwnego, że wszystkie zawady
Jak przed wichrami — ustąpią przed wolą?
Lub co dziwnego, gdy strudzony, blady,
Pada na chwilę, gdy nerwy zabolą. —
Otoż zboczyłem i ja — jednym czynem
Nie całem życiem, za ojca powodem;
Przestałem nawet dla niego być synem,
Nie połączywszy karjery z zawodem.

(*Słychać dzwonek*).

ZOFJA.

Słyszysz, ktoś idzie?

KONSTANTY.

Nie trwoż się, wyjść muszę,
Ale ty, odejdź. (*Wychodzi*).

ZOFJA (*patrząc za wychodzącym*).

Dobrze, do widzenia!
Czemuż i za mnie znosić chcesz katusze,
Nie chcąc mi przyznać winy ani cienia?

(*Wychodzi szybko*).

Scena III.

PANI NAŁĘCZ po chwili KONSTANTY.

PANI NAŁĘCZ.

Ażeby wszelkie odsunąć domysły,
Wiedz pan, że drogę wskazał mi pan Adam;
A przyszłam panie, by rachunek ścisły
I krótki zrobić; otoż panu zadam
Jedno pytanie: Czy matka ma prawo
Do swego dziecka, czy powinna znosić
Krzywdę, rodzinie wyrządzoną krwawo.

(*Po chwili, gdy milczy Konstanty*).

Jak o odpowiedź mam ja pana prosić?

KONSTANTY.

Znam jedno prawo, prawo rodzicielskie —
A niem jest — miłość.

PANI NAŁĘCZ.

A coż z hańbą panie?

KONSTANTY.

I znam dziś nawet dzieci tak anielskie,
Które nie hańbi nędzne świata zdanie;
Bo nieszczęśliwi w rozpaczliwym kroku
Wierni czystości przed Boga obliczem.

PANI NAŁĘCZ.

Ale czyn panie, hańba na widoku
Przed ludźmi, światem...

KONSTANTY.

Świat jest cnoty biczem,
Więc nas biczuje. —

PANI NAŁĘCZ.

Niech pan świata głosu
Nie lekceważy; i niech mi pan wierzy,
Że takiem zdaniem nie zapewnisz losu
Mojemu dziecku; na tem mi zależy,
Oddaj mi dziecko! ja matka, mam prawo;
Przyszłam po córkę, którąś uprowadził,
Przed całym światem okrył ją niesławą!
Ale nasamprzód łatwowiernych zdradził.

KONSTANTY.

Krok mój jest czynem dokonanym w chwili,
Gdy na dwie dusze sprzysięgły się losy. —
Myśmy nakoniec przed ludźmi się skryli,
Lecz nie przed Bogiem! A czyż nasze głosy,
Gdyśmy podnieśli otwarcie i śmiało
Były słuchane? — Chcieliśmy nadziei;
Gdy jej nie dano, rozwagi nie stało!
Bo dzisiaj człowiek, jak dziki zwierz w kniei
Prześladowany, co myśli, tak głupio!
Że przyrodzone jeszcze prawa cenią,
Że choć młodości tak prędko nie kupią,
Że wpierw ten szaniec w tygrysa zamienią,
Nim go zdobędą! — O pani, o! pani!
Różnemi szlaki, różni dziś wysłani,
Aby powolnie, z wolności przyłbicą
Psuć społeczeństwa, pchnąć w paszczę otchłani. —
Młodość się broni, bo młodość strażnicą
Wszelkich świętości; więc i ja się bronię,
Choć ojca mego i panią oburzam!
Lecz, czyliż wiecie jaki mię żar chłonie,
Gdy się myślami w moim czynie nurzam?

PANI NAŁĘCZ.

Chciałeś nadziei? — Dajże ty nadzieję!
A kiedyś silny, każ milczeć każdemu. —
Niechaj świat matki, dziecka nie wyśmieje,
Niech nie przypisze wychowaniu złemu
Czynu, co hańbi. — Mówiłeś: wysłano
Ludzi po świecie, co zepsucie szerzą;
Tośʼ ty z nich jednym; pewnie cię wybrano
Za przewodnika! — Niech młodości wierzą,
Młodość strażnicą jest wszelkich świętości! —

(*Po chwili*).

Do twego ojca, do zięcia dziś mego
Pójdę, on sędzia, niech mię o zacności,
Jak twoja panie — pouczy sędziego
Głos, i głos ojca.

KONSTANTY.

„Więc on trwa w uporze?
Głos ojca powie: „Nie chce wejść na drogę,
Którą wskazałem, gdzie go spotkać może
Zaszczyt, karjera?“ — O tak, ja nie mogę
Brać obowiązków, którym nie podołam,
Na obojętną rzecz składać przysięgę;
Ja pozostawiam to miedzianym czołam,
Dla których dzisiaj otworzono księgę —
Wyszli, i przejdą, wpisawszy imiona
Fałszów trucizną.

PANI NAŁĘCZ.

A nie hańbą przecie!

KONSTANTY.

Czyś pani dzisiaj córkę swą w ramiona
Choćby na chwilę, przygarnąć zechciała?
Hańba i hańba! już tak długo słyszę,
A żadnej nuty, któraby zdradzała
Matkę w jej głosie, którą rozkołysze
Rospacz i miłość, żal i przebaczenie.

PANI NAŁĘCZ.

Każdy dziś sędzią.

KONSTANTY.

Jeszcze nie! dopiero
Powstanie jutro młodsze pokolenie,
Które podejmie świata pracę szczerą,
I sądzić będzie.

PANI NAŁĘCZ.

Sądzić — kto? i kogo?
Dzieci rodziców? — młodość doświadczenie!
Jeszczeż nie dosyć pokrzywdziłeś srogo?
Jeszcze chcesz sądu, cóż, na matkę może?
Że przyjść i tutaj pytać się ośmiela,
Gdzie jest jej córka? którąś na bezdroże
Ty uprowadził! — Odtąd nas rozdziela
Znów większa przepaść! — Gdy muszę, odchodzę,
Z pogardą dla cię, choć czynna i w trwodze.

(*Wychodzi*). (C. d. n.)

CO MOŻE ZŁOŚĆ LUDZKA!

KAMOTKA

przez

ANATAZJUSZA BOMBĘ.

Dotychczas nie rozumiem dla czego mówiąc o kimś z przekąsem, powiadają: ›Prochu nie wymyślił!‹ Cóż w tem tak dziwnego, skoro raz już wymyślonym został?

To niewynalezienie prochu zarzucano niejednokrotnie i panu Mateuszowi, któren nigdy alchiemikiem nie był i o retorcie mniej wiedział, aniżeli o Retoryce, do której w swoim czasie dójść mu nie pozwoliły okoliczności, każąc na Gramatyce poprzestać... Co jednak do rzeczy nie należy wcale, i bynajmniej nie przeszkadza panu Mateuszowi gospodarzyć w zaścianku Latyczowskim, zajadać kluski z sérem i być głośnym w okolicy ze swej prawości i prostoty szlacheckiego ducha.

Nawet już zformowanym ludziom rosło serce na widok rumianych policzków pana Mateusza, okolonych rudemi faworytami i takimże podbródkiem, z dużem otwartem czołem do wierzchu głowy, po którem przebiegały lotne jego myśli, drogę swą zarysowując mniej więcej głębokiemi zmarszczeniami. Z przyjemnością patrzano nań, gdy palił domorosły tytoń z niewielkiej odlewanej fajeczki, za którą w czasach kawalerskich jeszcze zapłacił w Kamieńcu złotówkę. A złotówki lubił pan Mateusz, jakkolwiek dawnym obyczajem nie chował je w starej pończosze pod przypieckiem, ale na spodzie żoninego kuferka, od którego klucz nosiła ona wraz z medalikiem; pan Mateusz zaś, odewszego złego miał na szyi dukata z wizerunkiem Matki boskiej, która nie zdawała się mieć nic przeciwko umieszczeniu jej na monecie złotej...

Głos pana Mateusza miał wagę pomiędzy obywatelami z zaścianka, osoba zaś jego ważyła daleko więcej, bo przeszło 240 funtów należytej wagi, o czem wiedziano powszechnie... i o tem także, że pan Mateusz w swoim czasie aplikował w palestrze, i tylko miłość zwichnęła świetną jego karjerę, od pióra zagnawszy do pługa, od sądowych aktów do sianożęci, którą miał w lesie, koło futoru Borowego. Ale to wszystko nie przeszkadzało panu Mateuszowi mieć mocne przekonanie, że go powołają do krajowego steru, gdyż utrzymywał, że sam tylko w zaścianku miał olej w głowie, a wszyscy jego sąsiedzi byli poprostu głowy kapuściane!

Nie mam powodów zaprzeczać słowom pana Mateusza, którego znam ze strony najlepszej, a właściwie: z dwóch stron tylko, bo trzeciej nie miał... i zapisuję tu następnie, że pan Mateusz nie przestawał narzekać na miłość, która mu wpoprzek stanęła, chociaż żonę swą kochał, pomimo, że dzieci z nią nie miał.

— Mocidzieju! — mówił do otaczających go, odlewając fajeczkę — miałem być wielkim człowiekiem, a zostałem — tylko hreczkosiejem... Wszystkiemu winna kukułka!

Kukułka bowiem ożeniła pana Mateusza z panną Krzysią.

Młody palestrant, przed laty trzydziestu, udał się z panną i rodzicami do lasu na majówkę. Wśród miłego ›budzenia się w kolorach‹ i ›darowania sobie koszyków‹ w których Krzysia była zawsze różą, a pan Mateusz narcyzem, młodzi odłączyli się od towarzystwa... aż w lesie, nad potokiem zakukała ich kukułka. Pan Mateusz obaczył w tem wyraźny palec Boży, i stanął z Krzysią na kobiercu... Plag na nim wprawdzie nie dostał, ale karjerę swą zwichnął, i musiał wziąść się do gospodarki. A pani Mateuszowa, wyborne kwasząc ogórki i dorabiając do pieczeni wołowej, gdy Abramko przywiózł mięso z miasta, uprzyjemniała pożycie małżeńskie, dość często powtarzając:

— Mój Matus, to złoty człowiek! ale ma jeden defekt... — i żyła z mężem szczęśliwie oto lat trzydzieście blisko.

Domyślać się należy, że pani Mateuszowa ›defektem‹ w mężu nazywała częste jego zapominanie się, które nierzadko zakłócało spokój domowy. Pan Mateusz naprzykład, gdy zrana wstając ubierał nankinowe pantalony, nie mógł nie wykrzyknąć wielkim głosem:

— Gdzie moje szelki? — i zanim przybiegła żona lub służąca, już jedno i drugie krzesło zostało zdruzgotanem, faworytalna doniczka z kwiatami pani Mateuszowej znalazła się na podłodze... Pan Mateusz oddychał szeroko, oczy mu krwią zabiegły, żyły naprężone... a szelki najspokojniej wisiały w swem miejscu, upięte do tylnych guzików w pantalonach.

Gdy mu je pokazano, pan Mateusz natychmiast miękł na wzór wosku przy ogniu, w oba policzki całował żonę

i ugotowawszy karuku zabierał się do naprawy krzeseł, które od lat trzydziestu w jednem i tem samem miejscu pękały, przekonane, że ponownie zostaną umocowane karukiem. Doniczka również nie wiele sobie robiła z przymusowej jazdy na ziemię, była bowiem w całości oklejona papierem kolorowym, i każdorazowa irytacja pana Mateusza dawała jej nowy garnitur.

Jak mówiłem, pan Mateusz był nielada powagą w zaścianku, i gdyby przyszło do wolnej elekcji króla, mógł on śmiało liczyć na głosy swoich sąsiadów, którym imponował erudycją i tem wszystkiem, co za młodu widział, lub o czem słyszał od ludzi godnych wiary.

Pan Mateusz, gdzie się nadarzyło, zapalał ulubioną fajeczkę, i otoczony gronem słuchaczy, których w święta i po pracy miał zawsze dostatkiem — opowiadał rozmaite i wielce ciekawe rzeczy. A sposób jego opowiadania był zwięzły, treściwy i w wysokim stopniu trafiający do przekonania słuchaczów. Mówiąc o tem na przykład, jak się robią działa? nie potrzebował instrumentów, ołówka, papieru; ale mówił krótko:

— Jak mają mocidzieju robić harmatę, to biorą dziurę, i okręcają ją mosiądzem! I każden zrozumiał o co chodzi, powziąwszy najdokładniejsze wyobrażenie o wyrabianiu dział.

Również jasno mówił o telegrafie:

— Na wielkich słupach, długie druty; korbą kręcą, a ten wjo! i jedzie... Tylko posmaruj podeszwy żywicą, bo będzie jak z tym, co to hepnął z drutu jak długi, aż go musieli odcierać, i namoczyli w serwatce... dopiero przyszedł do siebie! Bo to, mocidzieju, leci jak koń najbystrzejszy! — a tylko żywica może utrzymać człowieka. Nie pamiętam, czy sam, czy widział to mój ś. p. mecenas!...

Do wziętości pana Mateusza w zaścianku przyczyniało się to jeszcze, że sam on tylko umiał pisać, literami tak wielkiemi, że i ten nawet miał ochotę przeczytać jego pismo, kto wcale czytać nie umiał... On jeden tylko służył księdzu do mszy, i w razie potrzeby śpiewał egzekwie po łacinie, a tak sztucznie, że nikt z parafian nie rozumiał ani słowa — co pana Mateusza dumnym czyniło, i czasami po mszy wychodząc z kościoła, zwracał się do wójta z następującem pytaniem:

— *Quodestus fiatus in agris tuos?* — a gdy wójt odpowiedzi nie dawał, pan Mateusz przełknąwszy ślinę mówił do organisty:

— *Habere vos aqua vitae bonus et panem nostrum quotidianum?*

Na co organista odpowiadał:

— *Sic dominus!* — I wśród niskich ukłonów parafian, dumnie przechodził pan Mateusz, idąc do organisty na okowitę i chleb powszedni...

Przy tem wszystkiem był jeszcze pan Mateusz astronomem. Na podwórzu u siebie miał parę ulów tak ustawionych, że do otworu wleść można było. Otoż w noc księżycową pan Mateusz robił obserwacje niebieskie: właził do ula; ztamtąd wykładał słuchaczom popularny kurs astronomji.

— Widzicie tam, wołał z ula — panna koło niedźwiedzia; wagi z przodu, a rak z tyłu... Strzelec nad koziorożcem a bliźnięta z rybą; widzicie to wszystko?...

Sąsiedzi patrzali pilnie na niebo, ale ani panny ani ryb i raków nie widzieli!... To gniewało pana Mateusza; wykładał więc słuchaczom o ruchu ciał niebieskich, ale »łby zakute« pojąć mądrości nie mogły, i astronomia miała pójść do grobu z panem Mateuszem, co go martwiło, bo chciał, ażeby i po jego śmierci kultywowano tę piękną naukę... Ale cóż poczniesz w zaścianku? Świat deskami zabity! genjusz, chociażby tak potężny jak pana Mateusza zmarnieć w nim musi!...

— Ot co narobiła kukułka! — konkludował astronom, wyłażąc ze swego obserwatorjum.

— Na próżno wszystko! — Szedł więc spać; a we śnie przychodziły doń planety, z wdzięcznością całowały ręce, że o nich nie zapomina; co pana Mateusza tak mocno rozczulało, że aż płakał przez sen, jak świadczyła nazajutrz pani Mateuszowa.

Sława mądrości pana Mateusza, chociaż szła leniwo, przecież po latach trzydziestu doszła do powiatowego miasta; a jakkolwiek oko w oko spotkała się tam z niewiarą w to, co znał i o czem pouczał pan Mateusz, wszelako wyszła ręką obronną. Pan Mateusz nabierał rozgłosu, pomimo, że farmazony, jak nazywał miejską młodzież, wątpili w jego znajomość łaciny i astronomii, nie wierząc w harmaty pana Mateusza, telegraf, a nawet w pocztę powietrzną.

O tej poczcie rzadko kiedy mówił pan Mateusz, bowiem rzecz to była trudniejsza do zrozumienia, jakkolwiek zawsze dobitnie i treściwie wyłożona.

— Co to, mocidzieju nasze poczty! — mawiał pan Mateusz. Trzeba koni, wozu, furmana... a w Portakalji mocidzieju, tego wszystkiego nie znają! Jest tam tylko wielka — wielka rura, we środku pusta z blachy, czy z drzewa? niepamiętam! a przy niej wielki szpunt. Do tej rury, mocidzieju, napakują listów ile chcą, i wykierują do którego miasta, chociażby i na końcu świata... Pożniej mocidzieju, wkładają szpunt, poprą — i fu! wszystkie listy już o mil sto!... Tak to w tej Portakalji, do której żebym tylko butów niezapominał, byłbym jak stój pojechał z nieboszczykiem mecenasem, świeć tam Panie nad jego duszą mocidzieju!

Otoż w istnienie owej powietrzno-rurowej poczty w Portugalii nie chcieli wierzyć, młodzi farmazony, i samego pana Mateusza przezwali rurą! co tak się upowszechniło w okolicy, że nikt go nie znał pod innem nazwiskiem, tylko pana Mateusza Rury!... aż przyszło wreszcie do tego, że i Marszałek zapragnął poznać zaściankową znakomitość i listownie zaprosił go do siebie na objad.

— Aha! »przyszła koza do woza!« — zawołał pan Mateusz, odczytawszy list Marszałka. Widzą, że bezemnie nie idzie w powiecie — dalejże, mocidzieju, do Mateusza! A nie mówiłem ci? Krzysiu!... Łagodź że wszystko co trzeba do wyjazdu, a i sama zbieraj się powoli; bo już mi czas wrócić do pióra: nie poradzą bezemnie w Gubernii!

Pani Mateuszowa wierzyła w męża, jak w Ewangelję, sąsiedzi również; nic też dziwnego, że w niedzielę odprowadzono go w licznem towarzystwie do kołowrotu, żadnej nie mając pewności, czy za powrotem nie wypadnie panu

Mateuszowi pokłonić się do kolan, gdy zostanie — co najmniej Podsędkiem!...

Z tęgą miną wjechał pan Mateusz do powiatu, bo ani wątpił, że czekają go laury; z góry patrzał na zwykłych śmiertelnych przechodzących błotnistemi uliczkami miasteczka... ale zbliżając się do domu Marszałka uczuł coś nakształt drzenia łydek... co przypisywał zbytniemu wzruszeniu — tchu mu zaczynało braknąć... lecz się poprawił, odkaszlnął i wszedł do przedpokoju.

Pan Mateusz miał serce czułe, miękkie... a przecież nie pamiętał, by mu tak kiedy zadrzało, jak w chwili przestępowania progu salonów marszałka... a gdy oko w oko spotkał powiatowego dygnitarza, obaczył razem zebranych mnóstwo pań i panów uczuł się tak mocno ściśniętym za gardło, że oddychać nie mógł; kapelusz wypadł mu z obezwładnionej ręki, i pan Mateusz, jak sam mówił później — zapomniał języka w gębie... Ochłonął dopiero w fotelu, otoczony gronem pań i panów, chórem proszących, by im opowiedział: co wie z wynalazków.

Duch wstąpił w pana Mateusza.

— Ha! — skoro chcą bym mówił — myślał sobie mitygując się — nie masz że czego być w strachu, mocidzieju... Dalej! pokaż im, co umiesz!...

Odchrząknął, poprawił wysokiego halsztuka, i jak z płatka wywinął słuchaczom opowieść o harmacie, telegrafie i rurowej poczcie...

Słuchacze śmieją się do łez; Marszałek aż się za boki bierze, — a pan Mateusz nie gorszy się tem wcale.

— A djabli ich wiedzą — myśli sobie, — jaki tam obyczaj panów! Jedzą żaby i ślimaki... może też i śmiać się muszą, gdy im się mądrą rzecz powiada... I dalej mówił z astronomii o raku i pannie; wspomniał o kukułce, a skończył na rozwinięcu planu z jakim się nosi, by zreformować gubernią...

Opowiadania starczyło do objadu.

Marszałek-gospodarz szepnął coś do ucha marszałkowi służącemu, któren — wnosząc z brzucha — poważniej wyglądał od niego, i posadził pana Mateusza obok siebie.

Za ten honor chciał przyszły dygnitarz uścisnąć obecnego dygnitarza za kolana; ale zaniechał tego, stuknąwszy się łbem o krawędź stołu. Jakże przyjemnem było ździwienie pana Mateusza, gdy za podniesieniem łbu stłuczonego ujrzał przed sobą, zamiast ckliwego rosołu, sporą misę barszczu na dnie której sokole oko szlachcica ujrzało — rurę... specjał, za którym przepadał!

Odmianę zupy tłumaczył marszałek chęcią przysłużenia się panu Mateuszowi, o którego guście wiedział od sąsiadów.

Pan Mateusz gorąco podziękował gospodarzowi za łaskawość, i z apetytem wziął się do niemniej gorącego barszczu, pilnie patrząc na rurę, która również zdawała się nań mile spozierać, w miarę jak ubywający barszcz w misie pozwalał dojrzeć jej boków powabnej białości.

Pan Mateusz miał zwyczaj, gdy w misce była rura, pamiętać tylko o rurze, nie interesując się tem wszystkiem, cokolwiek nią nie było... nic też dziwnego, że w tej chwili na nikogo nie zwracał uwagi, cały zajęty wyjadaniem barszczu; co musiało trwać dość długo, skoro goście mieli czas zjeść już połowę potraw objadu...

Wreszcie znikł barszcz z talerza! po spożyciu którego zajaśniało oblicze pana Mateusza. Z okiem iskrzącem się, ręką pewną porwał rurę!... ale rozmowa francuzka przypomniała mu gdzie się znajduje... Z twarzy znika radość, ręka opada bezwładnie — niepodobna zwykłym sposobem rozprawić się z kością!...

— Na świętego Patrona! nie wiem jak panowie postępują sobie z rurą! — pomyślał pan Mateusz, i jeszcze bardziej posmutniał, a ślinka pociekła mu do gardła, bo w kości dojrzał smakowitego szpiku niezawodnie kilka łutów.

— Co począć? co począć?... Kroplisty pot okrywa czoło pana Mateucza... Ha! nóż i widelec pod ręką — spróbójmy! Ale kość gładka — nóż się jej nie chwyta... widelec za szeroki — do wnętrza krwi nie dochodzi... kłopot!

Tymczasem rura dziwną moc posiada nad panem Mateuszem: myśl o szpiku zaprząta go całego, ślinka obudza w nim silną wolę — bodaj nożem i widelcem wydobyć szpik ukryty! Obraca kość na talerzu, przypiera ją do boków, stuka w nią coraz silniej... wreszcie wpadł na pomysł wyśmienity: balansując z rurą na talerzu, już ją ustawił pionowo... zamierza się, by nożem palnąć kość w łepek i zmusić do oddania bezużytecznie chronionego skarbu... spojrzy — aż sam został przy stole, a towarzystwo w sąsiednim pokoju wybucha głośnym śmiechem, patrząc na pana Mateusza, czy też na rurę, bo nie wiedział z pewnością: na niego czy na kość patrzano!...

Pomimo tej niepewności godność szlachecka uczuwa się w nim obrażoną, duma rodowa wzywa gwałtownej zemsty za straszliwą obrazę... bo pan Mateusz nie wie co się właściwie stało; ale czuje, głęboko czuje, że go lekceważą, jego, któren lat trzydzieście był pierwszą osobą w zaścianku, jego, któren sam tylko zna pismo, wiedział o harmatach, telegrafie i poczcie!... jego, któren znał łacinę i uprawiał astronomję!... Horror! Krew uderza do głowy pana Mateusza, wysadza go z krzesła... Gniewna ręka druzgocze parę krzeseł wcale o to nie troszcząc się, kto je sklejać będzie... gardło pana Mateusza wydaje ryk podobny do głosu lwa rozjątrzonego... jego wymowa zamanifestowuje się sporą liczbą wykrzykników, a wierne nogi wynoszą jego osobę z pokojów marszałka, i jeszcze wierniejsza kałamaszka przyjmuje na swe łono złamaną postać pana Mateusza, unosząc go z przeklętego siedliska farmazonów, marszałków, panów i pań wszelkiego rodzaju!...

Stało się!

Do dzisiaj pozostaje tajemnicą: co chciano uczynić panu Mateuszowi, częstując go barszczem — z rurą... jaką okropność gotował mu Marszałek, i co mu jeszcze groziło, gdyby był nie opuścił siedliska wrogów... ale to pewna, że pan Mateusz ucierpiał wielce! Ukryta dotąd, wzburzyła się w nim żółć gwałtownie, powaliwszy na łoże boleści luminarza zaścianku, a okropne sny gorączkowe dręczyły go marą tysiącznych katuszy, których sprawcą był marszałek!... To się zdawało panu Mateuszowi, że go wpakowują do mosiężnej harmaty, w której spotkawszy rurę, zostaje wraz z nią wyrzuconym na telegraf, a zabójczy śmiech marszałka, pań i panów towarzyszy tej jego przymusowej wędrówce... to znów, że listem zostawszy, pędzi pocztą powietrzną, goniąc rurę, sam ścigany przez mar-

szałka i całą zgraję wrzeszczącą: »krwi! krwi! Mateusza«!... to znowu, że Rak z Panną stają do tańca, a Niedźwiadek porywa pana Mateusza i wsadziwszy na Koziorożca ciska go na Wagi, gdzie okropnie tłucze łeb o o rurę... A rura wszędzie gdzie okiem rzuci!... Za nią marszałek! — za marszałkiem takich rur tysiące!... a w każdej jakiś pan lub pani, śmiejący się z pana Mateusza, któren ma te wszystkie rury zjeść, i co gorsza — strawić!

Wiele, wiele cierpiał pan Muteusz! tak, że gdy przyszedł do siebie nie poznał go Abramko; organista zaś z wielkim smutkiem zauważał, że pan Mateusz zupełnie łaciny zapomniał... a chociaż siły zdawały się powracać do pana Mateusza, nie wrócił jego dobry humor, nie wróciła pewność, że zostanie powołanym do krajowego steru, i odbiegła go chęć do badań astronomicznych.

Zagadnięty o telegrafach, lub harmacie, pan Mateusz uśmiechał się boleśnie, ręką kiwnał i — nic nie mówił...

Widocznie złamano mu skrzydła polotu, jak kosą podcięto... aż pani Mateuszowa zmuszoną się widziała uciec do naszeptywań i uroków...

Lecz wszelkie praktyki nie pomogły — dopiero czas uleczył pana Mateusza, a rura dokazała reszty. Gdy ją ujrzał na swym stole, pan Mateusz rozpłakał się jak dziecię... Były to pierwsze łzy od pamiętnej katastrofy... z niemi spłynęły resztki bolu, jaki chronił się jeszcze w zamkniętej piersi pana Mateusza, jak szpik w rurze, którą już nie nożem i widelcem, ale rozbroił własnemi rękami...

I jadłszy szpik ze smakiem, pan Mateusz uśmiechnał się, nadając swej księżycowej twarzy wyraz słoneczny, i dawny humor powrócił doń, uszczęśliwiając panią Mateuszowę i organistę przypadkiem znajdującego się na objedzie.

— Mocidzieju! — rzekł do współbiesiadników, oblizując usta po szpiku — bierz licho gubernię i marszałka! Łepiej mi tutaj z wami, niż na królewskich pokojach... *Dominus organmoestrosus!* — rzekł zwracając się do organisty — *valet bene vita tua et filis tuis?* — A gdy ucieszony tem zapytaniem, organista z całą powagą odrzekł: »*Bene!*« — »*Diai!*« — rzekł na to pan Mateusz i — Mocidzieju! — przydał — djabli mi nadali tę tam jazdę... Ale bierz ją licho, mocidzieju! Żcno! daj nam wiszniaku, ale tego... wiesz?... zapijemy sprawę!... A gdy już sprawa była dość dobrze zapitą, o czem świadczył nos organisty, pan Mateusz zakończył:

— Mocidzieju, gdyby kto u nas zmajstrował taką rurę, jak w Partakalji, a można w nią było wpakować wszystkich panów z marszałkiem, to jak mi Bóg miły, skierowałbym ją na morze i popchnął szpuntem — niechaj pływają!... tak jest, mocidzieju — niechaj pływają!...

Po tej przemowie, której towarzyszył jakby natchniony wyraz twarzy, głowa pana Mateusza upadła na poduszkę, w czas przyniesioną przez żonę, i za chwilę kot siedzący na przypiecku przysłuchiwał się dźwięcznemu kwartetowi, wykonywanemu przez nosy i gardła: organisty i pana Mateusza.

. . . .

Wypadkiem spotkałem się w Latyczowie z ujmującej powierzchowności obywatelem, któren częstując mię kminkówką, na poczekanem, pozwolił poznać w swej osobie — pana Mateusza.

O ile wnieść mogłem z krótkiej znajomości, cieszył się on ogólnem poważaniem sąsiadów; i szeroko rozprawiając o panach, z dumą przyznawał się, że jest »demagogiem!« i panów nie lubi!...

Nie wiem: czy winszować, czy mam im tego zazdrościć!

Rozmaitości.

* Teart polski odjechał na dniu 1. lipca do Czerniowiec; przedstawienia prawdopodobnie musiały się już rozpocząć.

* Z prawdziwą przyjemnością notujemy tutaj przybycie do Lwowa Józefa Lewińskiego, dramatycznego artysty nadwornego teatru wiedeńskiego — jednego z najznakomitszych tragików Europy. Występy gościnne rozpoczął p. Lewiński dnia 5. b. m. w teatrze tutejszym niemieckim rolą Franciszka w Szillera *„Zbójcach"*. Spodziewamy się zobaczyć tego mistrza w kolosalnych tragicznych kreacjach Shakespear'a, co tem pożądańszem będzie dla nas, że jesteśmy prawdziwie wygłodzeni na tego rodzaju pokarmy. Od ostatniego pobytu bowiem p. Jana Królikowskiego artysty teatrów warszawskich, nie spotykaliśmy się prawie nigdy na scenie naszej z tragicznym genjuszem.

* Na dniu 30. z. m. odbył się w sali radnej miejskiej publiczny popis uczniów Towarzystwa muzycznego. Jeśli mamy oddać świadectwo prawdzie, acz z przykrością musimy powiedzieć, że popis ten nie udał się najzupełniej. Najmocniej raziły chóry żeńskie. Jeden koncert skrzypcowy wykonany przez p. S., ucznia Towarzystwa (?) powiódł się, a młodego dyletanta nagrodziła zebrana publiczność dwukrotnemi oklaskami. Uwertura z „Oberona" R. Wagnera wykonana na fortepianach przez szesnaście rąk wypadła bardzo blado — pomimo, że wzięto tempo o połowę wolniejsze, od właściwego. Cóż powiedzieć o kwartecie albo duecie smyczkowym? Cóż o uczniach, a właściwie o nauce — Towarzystwa muzycznego? Popis ostatni przekonał nas ostatecznie o działaniu i siłach Towarzystwa, które — z czystem sumieniem wypowiadamy — są bardzo a bardzo niedostateczne, można śmiało powiedzieć — żadne.

* Zawiązane we Lwowie stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej „Gwiazda" liczy już 500 członków zwyczajnych, co jak na towarzystwo niedawno powstałe stanowi liczbę nie poślednią. Bodaj czy nie jedyne to stowarzyszenie, które z zawiązanych obecnie we Lwowie, zdradza dość sił w sobie, ażeby istnieć i rozwijać się.

Stowarzyszenie ma już czytelnię zaopatrzoną w pisma krajowe; bibliotekę z wypożyczalnią; urządza wykłady popularne; nie zaniedbuje muzyki i deklamacji. W salach towarzystwa zbierają się członkowie dla rozrywki i gier towarzyskich, z których, podnosimy to: wykluczono karty.

Najserdeczniej życzymy rozwoju Towarzystwa mającego tak piękny cel przed sobą.

* Wspominaliśmy w swoim czasie o procesie panny Ebergenyi, który się odbył w Wiedniu, z powodu otrucia hr. Chorińskiej w Mnichowie. Zeszłego tygodnia ukończył się także w Mnichowie proces hr. Chorińskiego, małżonka otrutej. Hr. Choriński został skazany na 20 lat więzienia w fortecy i nagrodzenie kosztów.

* Dzienniki czeskie mają teraz jeszcze trudniejsze stanowisko niż za czasów Szmerlinga. Dnia 25. czerwca zabrano „Narodni Listy", „Narodni Pokrok", „Swobodę", „Politik" i tygodnik „Hlas". — P. Nedoma redaktor „Politiki", skazany został za obrazę honoru ministra Plenera na 7 miesięcy aresztu i utratę 250 złr. z kaucji. Ponieważ na żądanie p. Nedomy nie przypuszczano świadków, tenże nie bronił się wcale.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.